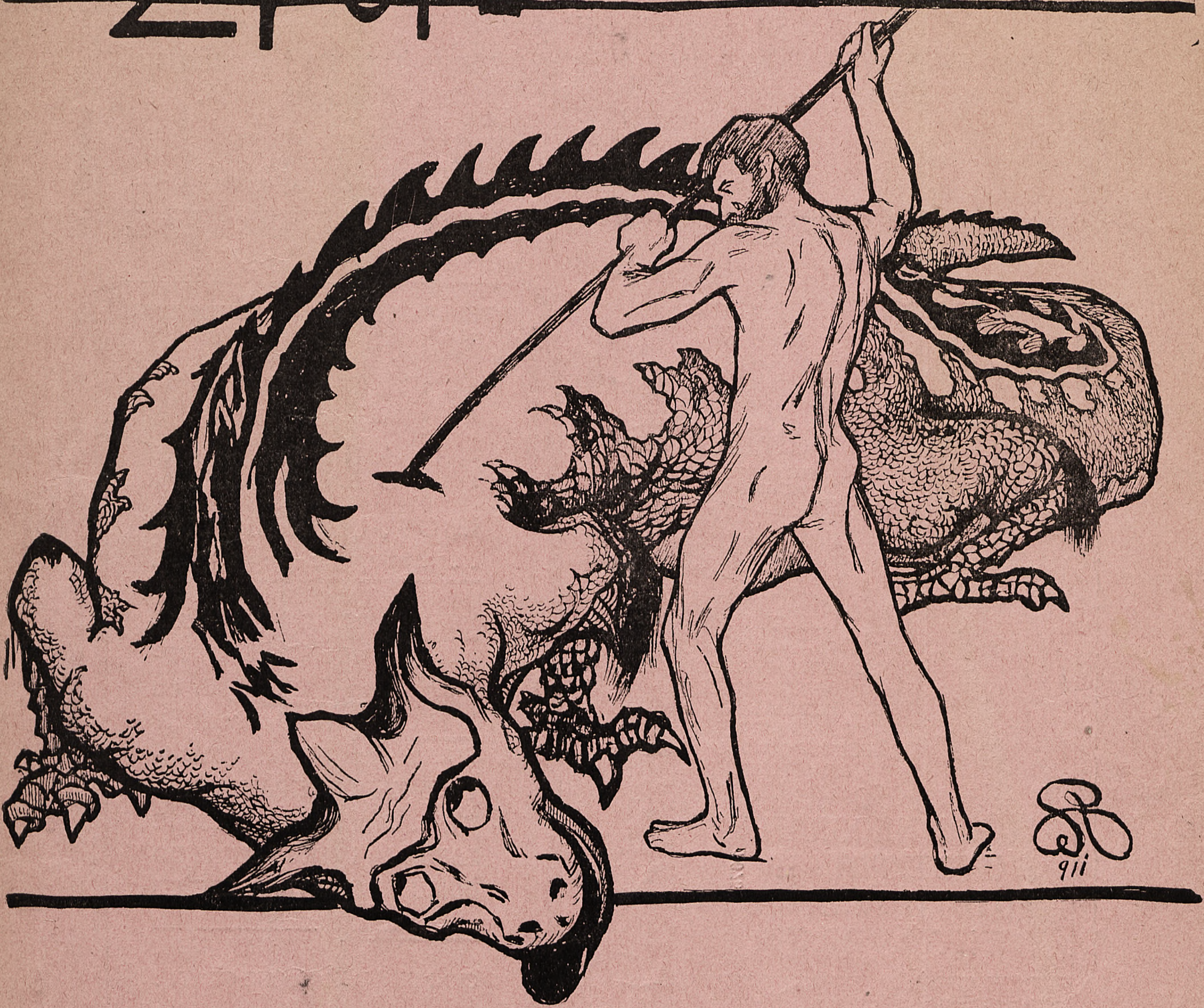
ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XXIX.

DNIA 15. LIPCA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW CHORĄŻCZYZNY 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

B. L.

REGENERACYA KOŁA.

W dniu 15 lipca — według kalendarza, w dniu „rozesłania apostołów“ — zbiera się młode Koło polskie drugiego z rzędu parlamentu ludowego na konstytuujące posiedzenie. Kraj wita nowe swoje przedstawicielstwo parlamentarne życzliwem zaciekawieniem. Życzliwem choćby dlatego, iż Koło poprzednie pozostawiło po sobie tak przykre wspomnienia, tyle zawiedzionych nadziei, tyle wstydu i upokorzenia, że każda zmiana wydawała się pożądaną. Trudno tu nawet stosować zasadę: *de mortuis nil, nisi bene.* Więc z uczuciem pewnej ulgi przyjęło wieść o rozwiązaniu parlamentu, w którym to Koło tak niezaszczytną odgrywało rolę — z otuchą i nadzieją przystępowano do wyborów. Wierzono, że musi być lepiej, skoro gorzej aniżeli było, już być nie mogło.

Jakiem będzie nowe Koło? — dziś przepowiadać byłoby przedwcześnie. Na razie ma ono jeszcze oblicze Sfinksa. Ale już w tej w sfinksowej twarzy są rysy, stwierdzające zmianę, w niejednym kierunku korzystną. Przedewszystkiem znikły z niej zupełnie narośle, które trzeba było ustawicznie okrywać, aby u swoich a jeszcze więcej u obcych nie budziły wstrętu i obrzydzenia. Nie masz przyjaciela i wiernego sojusznika narodowej demokracyi, „brata“ Stojałowskiego, a z nim zgasł — bodaj na zawsze — świetny blask jerozolimskiej lampy, zmilkł dźwięk rosyjskich rubli, pomieszanych z austryackiemi koronami „za marki“. Z szlachetnej drużyny dostojnego ks. prałata ocalał ledwie jeden giermek — Dobija. Nie ujrzy już parlament bachusowej postaci Tomcia Szajera, który z konieczności poświęci się teraz cały rozwojowi dwóch umiłowanych przez niego gałęzi krajowego przemysłu: gorzelnictwa i emigracyi; ni zacnego Fijaka, który tak dzielnie podtrzymywał sławę swego patrona; ni prześladowanego przez bezbożnych socyalistów Stohandla, któremu nietykalność poselska była nietylko ozdobą, ale i puklerzem.

Zniknął wraz z nimi ongiś pupil i wychowanek ks. Stojałowskiego, później rozwijający wspaniale skrzydła do samodzielnego lotu, ks.

Szponder, skandaliczny agent emigracyjny, ograbiający wychodźców z grosza, ich żony i córki z cnoty.

Zamknięta jest (n. b. w parlamencie, nie w sądzie) historya „Jaśnie Wielmożnych“ narodowo-demokratycznych chłopków, słynnego trójlistka: Paduch-Fiedler-Wiącek, którzy przemyślnie związawszy fabrykę dewocyonalii z niekoncesyonowanem biurem dla wyrabiania koncesyi szynkarskich, w pole wywodzili niewiernych żydowinów, i sobie, i kościołowi św. i narodowej sprawie na pożytek.

Oczyściło się powietrze w Kole polskiem. I to samo stanowi już wielki, doprawdy najcenniejszy dobytek minionych wyborów.

Drugim, ze względu na uzdrowienie stosunków w Kole i w kraju niemniej cennym dobytkiem jest złamanie nadmiernego wpływu wszechpolaków na naszą politykę parlamentarną. Z najsilniejszej w Kole — łącznie ze Stojałowczykami — grupy poselskiej zeszła dziś z dziesiątkowana armia Ekscelencyi Głąbińskiego na szary koniec. Minęły śliczne dni Aranjuezu. W nowem Kole mogą wszechpolacy, jak dawniej, wichrzyć, intrygować, mogą się nawet bawić w opozycyę, nie mogą marzyć o powrocie pięknej dla nich niestety, tak krótkotrwałej epoki „wymiany mózgów“. Odosobnieni, znienawidzeni, prześwietleni, jak promieniami Röntgena, będą w zgryźliwości i trawiącej gorączce dożywali dni swoich w Kole, podobni w tem owej partyi w kraju, która usiłuje dziś sztucznym hałasem ocalić rozpadającą się w gruzy pozycyę.

Dobytek trzeci, niezmiernie pocieszający, to zmiecenie z powierzchni Koła klerykalnego centrum. Z pogromu wyszedł z mandatem jeden tylko, wódz i chorąży, poseł Kozłowski. Znikły natomiast doszczętnie księże sutanny, które w liczbie dziewięciu nadawały Kołu dziwnie średniowieczny — przy powszechnem głosowaniu — charakter. Pozostał jedyny ks. Londzin ze Śląska, reprezentujący kierunek więcej narodowy, aniżeli klerykalny. Galicya, przynajmniej jej polska część, nie wysłała do parlamentu ani jednego księdza, jakby chciała przez to powiedzieć: *Tacet ecclesia in politicis*. Będzie to korzystne dla obu stron — i dla kościoła i dla społeczeństwa.

Nie łudzimy się, aby tem samem Koło polskie oczyszczonem zostało zupełnie z klerykalnych pierwiastków. Znajdą one swoich obrońców i szermierzy zarówno wśród wszechpolaków, jak u konserwatystów. Ale klerykalizm, jako kierunek, jako idea, dążąca do opanowania Koła, w tej chwili nie istnieje.

Pocieszającym również objawem jest odmłodzenie klubu ludowego. Ustępuje zeń szereg posłów, których cała działalność ograniczała się na pobieraniu dyet — wchodzi na ich miejsce zastęp ludzi dzielnych, do pracy parlamentarnej nie tylko uzdolnionych, ale i przygotowanych, a co najważniejsza, charakterem swoim i dotychczasowem życiem dających rękojmię, że nie pozwolą się zepchnąć do ubliżającej im roli bezwolnych i bezmyślnych manekinów w ręku sprytnego dowódcy, lecz dołożą starań, aby klub posłów ludowych szedł zgodnie z wytycznemi programu P. S. L., by prowadził politykę nie stanową, ani osobistą tej, czy owej jednostki, ale politykę narodową w szerokiem tego słowa znaczeniu, politykę prawdziwie demokratyczną.

Niepokojącym poniekąd jest wzrost siły konserwatystów, którzy w nowem Kole podwoili liczbę posiadanych dotychczas mandatów. Objawu tego nie uważamy jednak za zbyt groźny, albowiem — naszem zdaniem — jest on tylko przemijający. Stworzyła go chwila, dla konserwatystów niezmiernie korzystna, którą też — trzeba im to przyznać — umieli należycie wyzyskać. Koalicya wszystkich stronnictw, która wytworzyła się samorzutnie przeciw demagogii wszechpolskiej, pozwoliła konserwatystom, zwłaszcza w zachodniej Galicyi, zręcznie wysunąć się na front i przy wydatnej pomocy namiestnika odegrać raz jeszcze rolę, która w innym układzie stosunków byłaby już dla nich dziś niemożebna. Tak więc pośrednio wzrost konserwy i osłabienie siły demokratycznej w Kole polskiem, tej siły, jaka by tam być mogła i powinna, mamy również do zawdzięczenia nie komu innemu, jeno zgubnej dla kraju we wszystkich kierunkach polityce narodowej demokracyi a raczej, jak ją trafnie nazwano w Królestwie, narodowej demoralizacyi.

Mamy jednak uzasadnioną nadzieję, że w przyszłości taka sytuacya już się więcej nie powtórzy i konserwatystom nie uda się już po raz drugi przemycić krytym sztychem tak znacznej falangi swoich parlamentarnych przedstawicieli. Rękojmią w tej mierze jest widocznie z roku na rok postępująca, istotna a nie tylko frazesowa demokratyzacya naszego społeczeństwa, czego tak jaskrawym dowodem były wybory w obu stolicach kraju, a zwłaszcza świetne zwycięstwo kandydatów Polskiego Stronnictwa Postępowego we Lwowie. Wyszli oni z urny nietylko bez czynnego poparcia któregokolwiek z oficyalnych stronnictw, wbrew woli rządu, zwalczani z całą brutalną zaciekłością przez wszystkie obskurne moce wstecznictwa, zarówno przez narodową demokracyę, jak przez sfery kołtuńskie i klerykalne. Wszak omal nie ogłoszono okręgów I-go i V-go we Lwowie, jako „zagrożone narodowo“, wszak wytężono wszystkie siły, jakie te sfery mają do rozporządzenia, użyto wszystkich, najniegodziwszych środków — zacząwszy od potwornych kalumnii, a skończywszy na przekupstwie i gwałtach wyborczych, aby tylko obalić kandydatury ludzi, co mieli odwagę sięgnąć po mandat w imię nowych haseł odrodzenia narodowego przez lud i dla ludu, jako podwaliny przyszłej, wolnej Polski ludowej.

I zrozumiał ich ten lud, odczuł szczerość i głębię ich przekonań, uczuł świętość głoszonych przez nich idei, a wyniósłszy obu na swoich barkach — ich zwycięstwo uznał radośnie jako swoje, ich tryumf ogłosił swoim tryumfem. To były mandaty nie kupione, nie wyszachrowane, nie zrabowane ludowi, jak, niestety, znamienita większość galicyjskich mandatów — ale ofiarowane przez wyborców swoim istotnym mężom zaufania, prawdziwym przedstawicielom ich woli, rzeczywistym obrońcom i rzecznikom ich zbiorowego interesu.

Takie zwycięstwa i takie mandaty obowiązują. Jesteśmy pewni, iż nasi posłowie mają pełne poczucie tych zobowiązań i świadomość zadania, jakie ich czeka w nowem Kole polskiem. Zadania trudnego i odpowiedzialnego — ale równie

wielkiego i pięknego. Im przypadło w zaszczytnym udziale być solą ziemi, która ma ożyźnić grunt pod nowy zasiew, pod nowy plon. Jeżeli bowiem regeneracya Koła polskiego ma się istotnie dokonać w niedalekiej przyszłości, to może ona i musi być przeprowadzona tylko po tej linii, po której weszli do parlamentu posłowie Polskiego stronnictwa postępowego. Nie tradycyjna polityka wysługiwania się za wszelką cenę każdemu rządowi austryackiemu, ale przedewszystkiem ogólno-polska racya stanu musi być drogowskazem naszej parlamentarnej reprezentacyi. Nie konieczności państwowe, ale konieczności ludowe i krajowe muszą być przez nią przedewszystkiem a przynajmniej równorzędnie brane pod rozwagę. Nie wycieranie przedpokojów ministeryalnych, nie nauczki kuloarowe, nie pogoń za opiekunami, tytułami i godnościami, ale szczera jasna, otwarta polityka ludowa musi stać się cechą znamienną całej działalności Koła polskiego, aby ono zasłużyło na chlubne miano istotnego przedstawicielstwa kraju, istotnego rzecznika jego potrzeb, istotnego wyraziciela jego myśli i dążeń. Wówczas dopiero i tylko wówczas będzie można mówić o rzeczywistej regeneracyi Koła polskiego, w którem niewątpliwie — wierzymy w to — będą nietylko mogli, ale także chcieli zasiąść do wspólnej pracy polscy posłowie socyalno-demokratyczni, aby stworzyć prawdziwy obraz krajowej reprezentacyi w jej istotnem ludowem przedstawicielstwie.

Zaczątki są już dziś stworzone — przyszłość dokona dzieła.



WILHELM REDLICH.

ANNABEL LEE.

(WEDŁUG E. A. POE'GO).

Gdy słońce za lasem się skryło
Przyszła do mnie Annabel Lee.
Gdym smutny był, to ją dziwiło;
Że była smukłą i miłą
Prosiłem ją — Annabel Lee
By przy mnie została — przystała
Piękna Annabel Lee.

W objęciach płynęły godziny
W rozkoszach wonnych dni.
Głowę w jej włosów muśliny
Nurzałem, a gwiazd rubiny
Skrasiły Annabel Lee
Czoło białe, cierpiące — oczu skry gorejące
W dyamentowe błysły łzy.

Smutni-śmy razem błądzili
W księżyca bladej lśni,
W wysokie topole patrzyli;
Pył z skrzydeł nocnych motyli

Dawałem Annabel Lee.
O myślach swych północnej chwili
Mówiła mi Annabel Lee.

Lecz nigdy nie rzekła, że serce
Oddała mi Annabel Lee,
Że białe jej ramion kobiece
Są moje, że w każdej iskierce
Uczuć jej dusza ma tkwi.
Bez słów przeczuwało serce
Moje i Annabel Lee.

Gdy w bolach się rwących wiła
Piękna Annabel Lee
I twarz się w męczarni stroiła
Kwiatem czerwonym i tliła
Widziałem jutrzenkę dni.
Otwarła się żółta mogiła —
Wiedziałem: Annabel Lee.

Tak złe mi wydarły duchy
Piękną Annabel Lee
Lecz wcale nie tracę otuchy;
Gdy nocą wytężę słuchy
Słyszę Annabel Lee.
Chód wiotki ma, słodki, głuchy
Piękna Annabel Lee.

I w blasku twarz widzę białą
Wzniesione czarne brwi.
Jej oko na mnie spojrzało,
Bez ruchu, chwilę całą,
Aż dwie krople ściekły krwi
Sen upadł, nim zadniało,
Miałem mą Annabel Lee.



JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY). 8)

Powtórzył głośno: czy warto żyć jeszcze?

Wychylił się z okna. Pod nim była trzypiętrowa przepaść.

— Jeden skok na te twarde kamienie — i dosyć.

Rozszerzył oczy z przerażenia. Ale wiedział, że tego nie zrobi, więc przerażenie nie było zupełnie prawdziwe. Jednakże dreszcz go przeniknął od góry do dołu.

Odszedł od okna nagle uspokojony, czy oszołomiony.

— Zabić się? nie — to za głupie.

Powiedział to z takiem głębokiem przekonaniem, że aż się zadziwił.

Zadużo ma w życiu zrobić, żeby się zabijać — nawet dla niej.

O tak — nawet dla niej...

Wzruszenie ogarnęło całą jego istotę. Uczuł się nagle takim dobrym, słabym, bezbronnym. Kochał wszystko, wszystkich. Matka, ojciec, siostra, ten śmieszny chłopak, jego brat, ta biedna Cesia, która cały dzień pracuje i za to znosi gderania i żyje samotna u obcych ludzi, ten stróż, co wstaje w nocy bramę otwierać — ta szwaczka z przeciwka, u której lampa się pali do rana, a ona szyje i szyje i ma czerwone oczy i bladą, schorowaną twarz — i ta głupia służąca z drugiego piętra, co lata na czwartak do studentów, a potem śpiewa rozdartym śmiesznie głosem sentymentalne piosenki:

„Młoda cyganka smutnie westchnęła
Tęskni do swego kochanką".

Wszyscy oni biedni, wszystkim źle.

Jakże chętnie by Julek ich pocieszył — gdyby mógł... gdyby naprzykład był bardzo bogaty. Rozdawałby pieniądze na wszystkie strony. Temu tysiąc, temu dwa, temu dziesięć tysięcy. Szwaczka założyłaby magazyn, stróż — co zrobiłby stróż?

E, on pozostałby stróżem jak dawniej.

A ojciec? Julkowi wstyd się zrobiło, że odrazu o nim nie pomyślał, aż się zaczerwienił.

Ojcu dałby milion — ojciec stałby się sławnym na cały świat — genialny człowiek — genialny uczony polski — cały świat wiedziałby o tym genialnym polaku — to byłoby wspaniałe.

Wandzia znalazłaby męża — o, bardzo szybko.

A on Juliusz Bielski, w tej chwili pojechałby do Jadzi, oświadczyłby się jej — ona — kto wie?

A jeżeli ona jednak kocha tego smutnego?

Znów ogarnęła go nieutulona rozpacz. Uczuł, że musi się z nią zobaczyć, powiedzieć jej, że ją kocha — tylko jak to zrobić?

Nie — tam — pojechać? — to byłaby męka nie do wytrzymania. W jakiej roli? Niepodobieństwo. Naraziłby się tylko na śmiech.

Napisać do niej — błysnęła mu nagle myśl — i natychmiast wydało mu się to genialnem. On jej otworzy duszę swoją, niech wie, że ją kochał i kocha, niech wie, że zawsze przez całe życie będzie w nim miała przyjaciela, pomimo, że ją inny posiądzie — niech wie dlaczego, on Julek, chował w ukryciu swoje uczucia.

Już zapalał lampę i siadał przy stole.

Jednocześnie przedzierała mu się do świadomości inna myśl — rozkoszny sen: „listy robią zwykle większe wrażenie, niż słowa".

Może ona przynajmniej odpisze mu na ten list.

On by umarł ze szczęścia. Jakże on kochał te kilka listów, które kiedyś od niej odebrał. Takie były szczere, proste, serdeczne — jak od siostry — od bardzo kochanej siostry — od jedynej na świecie siostry. On całował te kartki, upajał się zapachem tych listów — takich niewinnych, mądrych, trochę smutnych, trochę patetycznych.

Łzy mu buchnęły do oczu, gdy rozkładał papier listowy i maczał pióro w atramencie.

Jak zacząć?

„Ukochana moja".

Tak nie można — skądże on ma prawo do niej tak pisać?

„Jadziu moja ukochana".

Jeszcze gorzej.

„Droga, kochana Jadziu".

Nie, to za mało...

Myślał nad tem długo z sercem zadławionem rozpaczą. Usta wykrzywiły mu się w grymas, który, jak mu to nagle przyszło na myśl, był wprost samobójczy. Gdyby udało mu się kiedy narysować taki wyraz, stałby się sławnym na cały świat.

Nagle postanowił nie dawać żadnej inwokacyi i w tej chwili napisał w rozkosznem natchnieniu bólu, uczuwając za każdem napisanem słowem ulgę wylewanych łez.

„Piszę do Ciebie, bo mi jest smutno bez granic i nikt mnie nie rozumie. Pytasz mi się, co mi jest? Co we mnie niezrozumiałego? Nie wiem i może nigdy tego nie będę wiedział. Znajduję w sobie tylko ciemności, które napróżno staram się rozświecać.

Zdawało mi się, że jestem prosty i szczery, a teraz widzę w sobie same fałsze. Zdawało mi się, że jestem orłem, co z góry patrzy na przyziemnych, drobnych ludzi, na te duszyczki, zajęte zdobywaniem grosza i marnych uciech — a teraz widzę, że jestem niczem i nie wiem, czy mam prawo nietylko do szczęścia, ale nawet do życia i czy nawet potrafię robić to, co oni — zarabiać — —

Mam talent podobno — ale czy to już uprawnia do istnienia wśród ludzi? Mam idee, ale czy kocham je dość mocno? Co dla nich zrobiłem? Czy narażałem chociaż moje życie?

Marne jest wszystko, co mnie otacza, zmęczona dusza moja, a serce wydaje mi się też chwilami jakby cudze.

Jadziu, nie dziw się, że Tobie właśnie to piszę, ale Cię kocham, kocham Cię jak siostrę, jak taką siostrę, o której tylko śnić można, bo zbyt wielkiem szczęściem byłoby ją mieć przy so-

bie — ach wiem, że Ty jedyna na ziemi mogłabyś wytłómaczyć moją duszę.

Otacza mnie zewsząd miłość i życzliwość ludzi, ale ja wiem, że oni nie kochają duszy mojej, bo jej nie znają, tak jak i ja jej nie znam. Oni kochają we mnie właśnie to, czem ja się w sobie brzydzę, to, z czego chciałbym wyrosnąć, jak motyl z poczwarki. — Ale oni znają tylko poczwarkę i kiedy całują mnie, to o niej tylko myślą. Oniby się przelękli śmiertelnie, gdyby zamiast niej ujrzeli motyla.

Motyla? Orła? — O Jadziu, czy to nie złuda jaka? A może w tej poczwarce siedzi robak czarny, wstrętny, oślizgły owad, co ziemię ryje i w norach mieszka? A może tam tylko uschnięty szkielecik, co zamiast wielkiego głosu mocy i natchnienia wyda bezwiedny szelest swych umarłych kości — a i te kości pierwszy wicher rozmiecie — bo będą puste?

Oni kochają mnie — kochają ciało moje — chcieliby żeby temu ciału było wygodnie, dostatnio i nie wiedzą, że ta wygoda i dostatek zabiłyby duszę moją. A ja — czy kocham ich? nie wiem. — Może ja też nie widzę ich serc, jak oni mojego nie widzą? Może oni uważają to za dusze swoje, czego ja w nich nie widzę? I może kiedy ja staram się budzić w nich dusze, oni sądzą, że jestem ich wrogiem?

Czuję się sam zupełnie, coraz bardziej sam. Staczam ze sobą boje, o których nikt nie wie. Czuję w sobie samym wrogów tysiące, a że mi są niewidzialni, więc nie wiem, jak się obronić. Czasami nawet nie wiem czy walczę, ani też skąd napaść przyjdzie niespodziana.

O Jadziu, wejrzyj na chwilę w te odmęty. Raz jeden tylko, ale całem sercem, duszą swoją. Może nie powinienem ci tego wypisywać ale to jest silniejsze odemnie. Jestem nad takim brzegiem, że mi już wszystko wolno.

O, nie myśl, żebym sentymentalnie marzył o śmierci. Pomimo wszystko czuję, że dużo uczynię na świecie. — Przychodzą na mnie fale zwątpień i uniesień — dziś naszła olbrzymia, gorzka fala rozpaczy.

Nie dziw się, nie gniewaj się, że ci tem umysł zaprzątam, kiedy ty pragniesz być szczęśliwą. Ale wiedz, dokądkolwiek się zwrócisz i cokolwiek się z Tobą stanie, że zawsze i wszędzie pójdzie za Tobą serce moje — zawsze Tobie oddane — Tobie jedynej siostrze mojej — Tobie, jedynej pod nogi się położy i czekać będzie tylko Twojego skinienia.

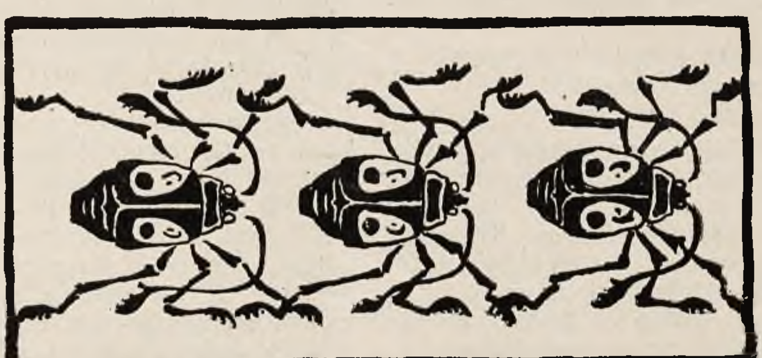
Do szczęścia idziesz — o, pójdź — pójdź — bądź szczęśliwą. Jeżeli dusza Twoja pragnie tego, pójdź — za sercem — za żywiołem — wiem, że nie zatracisz tego, czem żyje Twoja dusza — nie rozumiesz półuczuć, pół życia — Jadziu — bardzo mi ciężko.

Jadziu — jak siostrę Cię kocham — ręce Twoje całuję — chciałbym, żebyś chociaż przeczytała tę bazgraninę sentymentalną.

Jadziu, siostro moja — ja Cię kocham, pamiętaj o tem na zawsze

Twój brat
Juliusz Bielski.

(C. d. n.)



AD. PŁOMIEŃCZYK.

WSCHODNIO-GALICYJSCY IMPERYALIŚCI.

(Z POWODU ARTYKUŁU TEDDY: MAGIA NARODOWA.)

Bardzo ponętne zadanie stanęło przed postępową publicystyką naszą. Stronnictwo nar.-dem. poniosło klęskę przy wyborach w Galicyi; jednocześnie w Królestwie resztki jego rozkładają się po ubolewania godnej enuncyacyi w sprawie bojkotu szkół rządowych. Zaczyna się więc mówić o likwidacyi; bierze się do pomocy materyał historyczny, tłumaczy się genezę tego tworu ideologicznego i organizacyjnego, uzasadnia jego upadek, a wreszcie wysnuwa się nauki na przyszłość z błędów, które na stronnictwie wszechpolskiem się pomściły.

Sądzę, że cała dyalektyka ta jest przedwczesna a nadewszystko zbędna. Jest przedwczesna, bo jedna klęska wyborcza o niczem nie stanowi; zwłaszcza, gdy uwzględnimy różnicę w stanowisku rządu krajowego przy poprzednich, a przy obecnych wyborach, oraz zważymy, że stronnictwo we wschodniej części kraju (rzecz znamienna!) wyszło jednak obronną ręką. Jest zbędną, bo zanim zacznie się stosować dyalektykę historyczną do upadku czy porażki ideologii wszechpolskiej (na której jakoby stronnictwo wyrosło) trzeba wprzód zdać sobie sprawę, czy naprawdę mamy tu do czynienia z tworem historycznym, czyli z organicznego rozwoju narodu wynikłym.

Miałem sposobność już zwrócić na to uwagę, że w przeciwstawieniu do epoki emigracyjnej, po roku 1863 trudno jest w ścisłem tego słowa znacze-

niu mówić o r o z w o j u ideologii w Polsce; są to raczej dorywcze skoki, a właściwie przekłady jakby z języków zachodnio-europejskich, które na grunt polski zaszczepione bądź weń wrastają, przystosowując się do stosunków, bądź ulegają „przezwyciężeniom“ w miarę jak nowy prąd z zachodu powieje. Tak mieliśmy coś w rodzaju polskiej restauracyi antirewolucyjnej i antipowstańczej w krakowskim konserwatyzmie, mieliśmy polski pozytywizm i socyalizm, mieliśmy wreszcie i polski imperyalizm, czyli prąd wszechpolski. Mówię o nim w czasie przeszłym nie dla tego, jakobym był zwolennikiem, jak się to dziś zbyt pochopnie robi, zaliczania endecyi do przeszłości, lecz dla tego, że dzisiejsze stronnictwo bardzo mało ma wspólnego z „prądem wszechpolskim“, który w ostatnich kilkunastu latach przed rewolucyą w Królestwie pojawił się na gruncie polskim. Tyle ma z nimi właśnie wspólnego, ile z imperyalizmu zachodnio-europejskiego mogło wniknąć... w stosunki polskie.

Dla tego o ile się mówi o historycznej genezie ideologii wszechpolskiej, stoi się na gruncie więcej niż niepewnym. P. Teddy dopatruje się jej w ostatkach tradycyi emigracyjnej, inni widzieli ją w pozytywiźmie, jeszcze inni dosłuchiwali się tu echa ideologii rosyjskiego ruchu ludowego, którą Popławski i Balicki, zarówno jak Wysłouch mieli być przejęci. Z samej różnorodności tych źródeł wynika niepewność jakichkolwiek w tym względzie przypuszczeń. Ważnem jest jednak co innego, nie te początki, których endecy sami częstokroć się wypierali, ale ostateczne sformułowanie ideologii w rocznikach „Przeglądu wszechpolskiego“, książkach Dmowskiego i Balickiego.

Zasadniczą cechą wszechpolskiej ideologii jest traktowanie narodu jako jednolitej całości, o harmonijnych interesach, jest więc zupełne zamknięcie oczu na społeczną strukturę narodu, na zagadnienia społeczne, z których wynikają nie tylko dyrektywy dla normowania życia wewnętrznego narodu, ale które także muszą być brane za podstawę dla dążności politycznych, o ile idea wyzwolenia narodowego nie ma być tylko tematem do mów na uroczystościach narodowych, ale formułowana jest jako program działalności.

Oto i cała analogia programu wszechpolskiego nie z emigracyą, ale z jednym jej tylko konserwatywnym i nacyonalistycznym odłamem, który, budując swoją ideologię na tradycyi i na bytowem pojęciu ducha narodowego, ujmował naród jako jednolitą istność metafizyczną. Jest to analogia tylko, nie związek przyczynowy, bo nar.-dem. właśnie emigracyi i „romantycznemu“ pojmowaniu narodu się przeciwstawiała i tem wzrastała. Pamiętamy te przełomy duchowe, które przeżywała młodzież przejmująca się „Myślami nowoczesnego Polaka“ i t. p., gdy czytała w nich krytykę pojęcia patryotyzmu u Mickiewicza i romantyków. Przeciwstawienie się to polegało na bardzo powierzchownem pojmowaniu ideologii emigracyjnej, jako rzekomego mitologizowania ojczyzny, tworzenia z patryotyzmu religii, oderwanej od nieubłaganych zagadnień życia realnego. Stawiano natomiast rzekomo nowoczesny sposób pozytywnego ujmowania narodu, jako egoistycznie i a-etycznie żyjącego organizmu zbiorowego. Tymczasem sprawa nie przedstawia się tak prosto.

Życie ideologiczne emigracyi polskiej kształtowało się na tem zagadnieniu, czy naród ma być uważany za zastaną, zamkniętą całość samą w sobie, cel i racyę swego istnienia posiadającą, czy też jest on podporządkowany pewnemu państwu celów, jako rezultat rozwoju kulturalnego i organ ideałów ogólno-ludzkich. Na tle tego dylematu powstawały kierunki ideologiczne na emigracyi, radykalizm i socyalizm emigracyjny, nie uznający bytowych podstaw narodu, podporządkowujący go ludzkości, jako organ ziszczenia ideałów przyszłego ustroju społecznego, mesyanizm uznający te wieczyste podstawy właśnie w realizowaniu owych ideałów, więc w posłannictwie i konserwatywny nacyonalizm, który zadania narodowe formułował jako konieczność pielęgnowania tradycyi historycznej i domowo-obyczajowych cech charakteru narodowego, które będąc bytową podstawą narodu, więcej o jego istnieniu stanowią, niż walki powstańcze i kongresy dyplomatyczne, będące tylko automatycznym wynikiem i zewnętrznym wyrazem zdobyczy tego narodowego trwania. Pogląd ten ma za sobą całą dyalektykę historycznego rozwoju narodu bez państwa, który doszukiwał się podstaw niewzruszonych narodowej samowiedzy kulturalnej.

Poszukiwania takich podstaw zgoła nie widzimy w nacyonaliźmie nar.-dem. Pokrewne na pozór pojęcie rasy zaczerpnięte jest z ogólnie obowiązującego przyrodniczego żargonu naukowego i zgoła inną spełnia rolę. Nar. dem. w bytowe podstawy narodu nie wierzy, a zasadnicze jej pojęcie interesu narodowego jest całkiem osobliwej proweniencyi.

Zachodnio-europejski nacyonalizm nie ma wcale potrzeby troszczyć się o sformułowanie bytowych podstaw narodowości, ani o motywacyę jednolitości interesu narodowego; dla niego podstawę narodowości stanowi państwo, interes narodowy jest imperyalistycznym interesem państwa. W imię tego państwa formułuje się egoistyczną, zaborczą jego politykę, w imię też tego państwa zaborczości formułuje się w razie potrzeby ideał zwycięskiej rasy, n. p. angielskiej czy niemieckiej.

Otóż przekładem na polskie tego imperyalizmu jest ideologia wszechpolska, wraz z jej sformułowaniem interesu narodowego i egoizmu. Ale cóż, podstawy imperyalizmu, państwa, Polska nie posiada. Następuje więc tu taka dyalektyka, częstokroć spotykana w endeckiej publicystyce. Niepodległości nie posiadamy, zdobycie jej na razie jest niemożliwe, koniecznem jest więc przeniesienie państwa polskiego w dziedzinę duchową. Już dziś powinniśmy się czuć niepodległymi i w interesie tego niepodległego państwa działać.

Taki jest endecki program polityczny, obejmujący wszystkie ziemie polskie. P. Teddy ma słuszność, że jest on iluzoryczny, ale iluzoryczność ta polega na tem, że bierze on za podstawę już iluzyę, imperyalistyczne państwo, że omija on jedyną podstawę ogólno-polskiej polityki, program niepodległości.

I jeśli się dziś mówi o likwidacyi stronnictwa nar. dem., to przedewszystkiem niech ona polega na tem, aby odszukać właściwy jego teren i zakres. Przetłumaczony na polskie imperyalizm zachodni stał się ideologią urzędników, obszarników i ich oficyalistów we wschodniej Galicyi. W powszechnym pogromie wyborczym endecya traci we wschodniej Galicyi jeden tylko mandat we Lwowie (nie liczę mandatów, które w r. 1907 zdobyła jako mandaty zastępców posłów), na prowincyi zatrzymuje swój stan posiadania, jeśli nie staje nawet na podstawach silniejszych. Bo tu odbywa się wrastanie tej narzutowej ideologii w grunt realny, w tym wypadku staje się ona ideologią szlacheckich dworków i posad urzędniczych w tej ***sit venia verbo*** kolonii polskiej.

DR. TOBIASZ ASCHKENASE.

SPRAWA DRA JANIKA.

Było to w roku 1902 lub 1903, kiedy o ile pomnę za inicyatywą ówczesnego posła do rady państwa dra Greka, posła na sejm krajowy dra Głąbińskiego i znanego pisarza politycznego Wład. Studnickiego, odbyło się pod przewodnictwem ks. Jerzego Czartoryskiego poufne zebranie obywatelskie, na którem w szczuplejszem gronie zastanawiano się nad środkami i sposobami rychłego i skutecznego rozszerzenia autonomii, a w dalszej linii zdobycia wyodrębnienia, względnie usamodzielnienia kraju.

Wziąłem udział w tej naradzie i w dyskusyi wyraziłem zdanie, że w pierwszej linii dążyć należy do tego drogą ustawodawstwa krajowego i nie oglądając się na ewent. sprzeciwienie się rządu, z narażeniem się nawet na odmowę sankcyi, uchwalać należy w sejmie ustawy krajowe rozszerzające w znacznej mierze samorząd krajowy — a chociaż rząd zrazu nawet odmówi sankcyi, to przy pewnej stanowczości i konsekwencyi można będzie po powtórnej lub kilkakrotnej uchwale sejmu zdobyć u rządu sankcyę, zwłaszcza, że sytuacye polityczne i gabinety są zmienne, a pomoc Koła polskiego rządowi często bardzo potrzebna.

Przykładowo też przytoczyłem, że pierwszym aktem ustawodawczym w tym kierunku powinno być utworzenie w drodze ustawodawstwa k r a j o w e g o prawnej gwarancyi dla instytucyi Rady szkolnej krajowej, której powstanie i istnienie opierało się wówczas na odwołalnem każdego czasu cesarskiem rozporządzeniu, — a zakres działania ulegał nawet dowolnemu ścieśnieniu w drodze zwyczajnego rozporządzenia ministeryalnego. — Z tego powodu domagała się polska opinia publiczna już od lat ustawodawczego zabezpieczenia istnienia i zakresu działania Rady szkolnej krajowej, — atoli zachodziła poważna wątpliwość, czyli rzecz ta nie należy do zakresu ustawodawstwa państwowego, rząd zaś i parlament wcale się nie spieszyli z wprowadzeniem w życie tego rodzaju ustawy. Wbrew tedy zachodzącej wątpliwości sądziłem, że sejm powinien ująć tę sprawę, a uchwalenie tego rodzaju przedłożenia posunie na wszelki sposób sprawę o znaczny krok naprzód.

Nie chcę twierdzić, że z powodu ówczesnej konferencyi, ale na wszelki sposób bezpośrednio po niej, sprawa ustawy o Radzie szkolnej krajowej stała się w sejmie aktualną, rozpoczęto odnośne rokowania z rządem, weszło odnośne przedłożenie na porządek dzienny i doprowadziło w końcu do pierwszej ustawy o Radzie szkolnej krajowej z dnia 15. lutego 1905.

Ustawa wywołała ogólne rozczarowanie. Ani skład Rady szkolnej krajowej ani jej zakres działania nie odpowiadały nawet w drobnej cząstce oczekiwaniom, tem mniej nadziejom, które widzieć chciały w Radzie szkolnej krajowej wskrzeszenie komisyi edukacyjnej Rzpltej polskiej.

Pocieszano się, że to pierwszy krok, że chodziło o to, by rządu nie zrażać zbyt daleko idącemi żądaniami, że na razie jest wielką zdobyczą samo ustalenie i uznanie, że sprawa ta należy do ustawodawstwa krajowego, — i że instytucya sama jest już ustawowo zabezpieczoną, — a dalszy rozwój ustawy w samorządnym kierunku leżeć już będzie w rekach sejmu krajowego, — zaczem rychło należy oczekiwać dalszych reform, które stworzą podwalinę do zupełnej autonomii naszej nawyższej w kraju magistratury szkolnej.

Istotnie do dwóch lat wchodzi w życie druga ustawa krajowa z 9 maja 1907 zmieniająca art. II. III. ustawy pierwotnej, a postanowienia te ustalają i rozszerzają zakres działania rady szkolnej krajowej, w szczególności przyznają jej daleko idącą kompetencyę w przedmiocie mianowania, przenoszenia i pensyonowania profesorów i nauczycieli szkół średnich,

I stała się rzecz dziwna. Miasto zadowolenia, które wywołać był winien ten pierwszy zawiązek krajowej autonomii szkolnej, — miasto zachęty i podniety ze strony opinii publicznej do dalszego rozwoju i pogłębienia samorządu w tym kierunku, odzywają się z miejsca, zrazu nieśmiało, potem coraz jawniejsze i liczniejsze głosy krytyki, żalów i narzekań, — ba nawet nawoływania do odwrotu, — a w kołach nauczycielskich staje się niemal panującem zdanie, że w danych warunkach nie życzą sobie wcale dalszego rozszerzania krajowej autonomii szkolnej ich kosztem, gdyż już tę zdobytą autonomię zbyt drogo okupują.

Przyznaję, że głosami tymi byłem zdumiony, i wyznaję otwarcie, do pewnego stopnia zgorszony.

Przypuszczałem, że są pewne niedomagania, braki, które przesadna może wrażliwość jednostki ocenia zbyt subjektywnie, — i bolało mnie, że w stanie nauczycielskim jest tak mało chęci do ofiary i ustępstwa w rzeczach drobnych, małych (bo do tych tylko owe braki odnosiłem) — na rzecz wielkiej autonomii kraju, którą w łączności z odpowiednią autonomią narodowościową, — uważam w danych warunkach za najważniejszy postulat narodowy.

Atoli, — „wer den Dichter will verstehen, muss in des Dichters Lande gehen“.

Nie sadziłem, że mi tak rychło przyjdzie wstąpić choć na chwilę w tę krainę poetów, co pracą myśli swojej podnoszą ducha, kształcą umysł i pobudzają wyobraźnię młodzieży, — w których rękach przyszłość narodu, bo od ziarna, jakie rzucą na świeży i dziewiczy grunt uczuć i myśli powierzonej im młodzieży szkolnej, zależy w znacznej bardzo mierze charakter, wiedza, tężyzna, miłość ojczyzny i przywiązanie do ideałów — przyszłych obywateli kraju.

Nie sądziłem, — że wstąpiwszy w tę krainę zmuszony będę uznać słuszność tych żalów i konieczność stanowczego czynu, który istniejącemu nieznośnemu stanowi musi kres położyć.

Sprawa Dra Janika, przekonała mnie, tak samo jak przekonała n i e p o d z i e l n i e całą

opinię publiczną, że nie chodzi tutaj wcale o rzeczy drobne i małe.

Chodzi o gwarancyę praw obywatelskich — a to jest sprawa ogólna najpierwszorzędniejszego znaczenia.

Chodzi o uszanowanie wartości i godności człowieka, — którego nie wolno traktować jak rzecz jaką, którą tak od niechcenia można cisnąć tu!aj lub tam. Chodzi o poszanowanie ustawy, której złamanie cofa nas w okres nierządu i oddać może na pastwę „swawoli szlacheckiej“ lub innej.

Nie możemy dopuścić do powrotu rządów „prawem i lewem“, — musimy żyć prawem.

Wszyscy bez wyjątku; — obywatele i uczestnicy wiedzy; — zwierzchnicy w urzędzie i ich podwładni.

A zwierzchnik w urzędzie, który nie ma zrozumienia dla tej podstawowej zasady nowoczesnego państwa, który nie umie uszanować praw swojego podwładnego aż do najdalej idących granic tak pod względem rzeczowym jak formalnym, który nie widzi na prawdę w swoim podwładnym równego sobie obywatela, nad którym mu jako człowiekowi żadna nie przysługuje wyższość, — wobec którego pozostaje we wzajemnym stosunku zależności ustawami określonej, taki zwierzchnik nie posiada niezbędnej kwalifikacyi dla swojego urzędu, i nie może pełnić tego urzędu.

I nie chodzi już nawet o krzywdę osobistą, wyrządzoną jednostce.

Także w stosunkach praworządnych i wśród najwyższych gwarancyi prawnych dzieją się krzywdy i są częste, bo ludzie nie są nieomylni i ulegają różnym pobudkom i wpływom.

To są rzeczy nieuniknione. Ale musi być zachowaną przynajmniej forma prawna, w której by się ujawniała chęć działania w myśl ustawy i konieczność zastosowania tego zła, które jednostka odczuwa jako krzywdę osobistą. W takich wypadkach, a i one są niestety zbyt częste — dotknięta jest tą krzywdą jednostka sama, i musi się poddać losowi, jaki jej przypadł w udziale.

Jeżeli atoli krzywda wyrządzona ma także w swoich zewnętrznych objawach wszystkie cechy przemocy, wywyższenia siebie ponad ustawę, a poniżenia człowieka drugiego, który z reguły, ani z rodu, ani z majątku, ani z mocy hierarchicznych swych stosunków nie może posiadać tej siły, aby odeprzeć jak należy bezprawny atak, wówczas z krzywdą materyalną jednostki łączy się duchowa obraza ogółu, i budzi się uczucie sponiewieranej godności ludzkiej, — przeciw któremu buntuje się wszystko, co jest najlepsze w człowieku i w społeczeństwie.

Taką jest mojem zdaniem psychologia ogólnego odruchu, jaki sprawa drą Janika wywołała w całem społeczeństwie.

Nie sam fakt przeniesienia, tylko forma przeniesienia dotknęła ogół.

Gdyby to przeniesienie nie było nastąpiło tak doraźnie, gdyby przyczyny polityczne i partyjne nie były tak uderzające — gdyby je jakim pozorem osłonięto lub też gdyby przeniesienie nastąpiło po jednym lub dwóch upomnieniach lub ostrzeżeniach, gdyby się to stało na wniosek powołanego dyrektora zakładu, za zgodą inspektora krajowego, — na skutek uchwały plenarnego posiedzenia Rady szkolnej krajowej, po jakiejś dyskusyi, dochodzeniach chociażby tylko pozornych lub przynajmniej po przesłuchaniu dra Janika, — wówczas nie zdołałaby żadna siła poruszyć opinii publicznej i ten i ów ruszyłby ramionami i rzekłby: „pewno coś zbroił, boby go inaczej nie przeniesiono“.

Tak osądziłby rzecz przeciętny ogół i w razie zachowania powyższych pozorów, uważałby przeniesienie za zupełnie prawidłowe, — chociażby nawet nie przeprowadzono należytego postępowania dyscyplinarnego.

Inaczej jednak oceniam rzecz ze stanowiska prawnego.

Twierdzę stanowczo, że samo przeniesienie jako takie narusza ustawę i było bez wyroku dyscyplinarnego wręcz niedopuszczalne.

Wiem dobrze, że nawet w kołach prawników napotka to zdanie na opozycyę — tak samo jak opinia licznych prawników mniemała, że sprawa ta wogóle nie może się oprzeć o Trybunał administracyjny, i że Trybunał wniesione zażalenie odrzuci a limine, nawet bez rozprawy.

Przypisać to należy mało rozpowszechnionej znajomości odnośnych specyalnych ustaw, które wymagają specyalnego przestudyowania dla wyrobienia sobie o tych rzeczach własnego należytego sądu.

Ale przypisać się musi także pewnej przesadnej u nas skłonności do przeceniania wszechpotęgi każdej władzy, zwłaszcza władzy administracyjnej, i do pewnego rodzaju fatalistycznego poddawania się jej jakby jakiemu przeznaczeniu, że obywatel czy urzędnik podwładny nigdy nie ma racyi, a władza i zwierzchnik zawsze mają racyę.

„Urodzeni w niewoli, okuci w powiciu“ zaprawiliśmy się pod rządami biurokratycznymi tak bardzo do panujących pojęć biurokratycznych, że każda gwiazdka na kołnierzu wywołuje u nas największy respekt, — a jeżeli gwiazdki te są na kołnierzu szlachcica, to już niema granic lęku i czołobitności.

Z drugiej strony wierzymy już sami, że nie moglibyśmy istnieć bez tej olbrzymiej rzeszy nieodpowiedzialnych biurokratów, — którzy wmawiają w nas, że od nich los świata zależy i obawiamy się nie wiem jakiej klęski społecznej z ukróceniem i ograniczeniem władzy biurokratycznej.

Stąd pochodzi, że w kołach fachowych biurokratycznych, a także w kołach obywatelskich ludzie sobie nawet wyobrazić nie mogą, — jakby to szkoła średnia istnieć mogła, — gdyby Rada szkolna nie miała „nawet“ prawa przenieść profesora, „ze względów służbowych“ na inną posadę.

Przesąd ten jest tak zakorzeniony, że niemal do wyjątków należą jednostki, które inaczej tę rzecz oceniają.

A jednak Rada szkolna wedle ustawy nie ma tego prawa i nie potrzebuje go wcale.

Że go nie potrzebuje, tego dowodem fakt, że na palcach jednej ręki zliczyć można wypadki tego rodzaju przeniesień w ostatnich 20—30 latach, a to głównie dzięki temu, że przeniesienie

nauczycieli szkół średnich należało do atrybucyi ministerstwa wyznań i oświaty.

I szkoły średnie istniały i nie były wcale gorsze od dzisiejszych.

Gdzie zachodzi istotna potrzeba przeniesienia z winy odnośnego nauczyciela, tam postępowanie dyscyplinarne daje prawo i możność przeniesienia, i pod gwarancyą prawną potrzeby służbowe znajdują aż nadto wystarczające zabezpieczenie.

Ze stanowiska zaś ustawy błąd prawny w tem głównie polega, że przez zupełne zapoznanie istotnego stanu rzeczy, — uważać się chce i traktować nauczycieli szkół średnich za jakichś u r z ę d n i k ó w a d m i n i s t r a c y j n y c h, czem nie są i nigdy nie byli.

Wedle pierwotnych ustaw organizacyjnych, nie mieli nauczyciele szkół średnich nawet żadnej rangi, a statut organizacyjny dla gimnazyów nadawał im stabilizacyę po 3 latach nienagannej służby, nadawał im tytuł profesorów i płacę, która nie odpowiadała żadnej z płac przywiązanych do pewnej rangi urzędowej. Dopiero później nadano im rangi, kazano sprawić mundury z gwiazdkami, co jednak wszystko w istocie jest sprzeczne z zawodem nauczycielskim jako takim, a na wszelki sposób nie uczyniło ich żadnymi urzędnikami a d m i n i s t r a c y j n y m i.

I kiedy ustawa o organizacyi władz administracyjnych i instrukcya dla urzędników administracyjnych zawierają w y r a ź n e p o s t a n o w i e n i e, że urzędnik administracyjny może być każdego czasu przeniesionym w interesie służby, to przeciwnie ani s t a t u t o r g a n i z a c y j n y d l a g i m n a z y ó w, ani u s t a w a k r a j o w a o s z k o ł a c h r e a l n y c h n i e z a w i e r a j ą ż a d n e g o t a k i e g o p o s t a n o w i e n i a.

Owszem statut organizacyjny dla gimnazyów postanawia wyraźnie, że posady nauczycielskie mają być nadawane t y l k o w d r o d z e k o n k u r s u, a rozporządzenie min. z roku 1875 i ustawa kraj. w szkołach realnych przepisują, że w konkursie ma być wymienionym zakład do którego się konkurs odnosi i mają być wymienione pobory z tą posadą połączone.

Jeśli tedy nauczyciel szkoły średniej uzyskał posadę na podstawie konkursu w oznaczonej w konkursie szkole i z wymienionymi w konkursie poborami, to nabył praw których mu nikt bez przewinienia i orzeczenia dyscyplinarnego odebrać nie może, bo żadna ustawa nie pozwala na odebranie takich praw p o s t a b i l i z a c y i.

Dowód przeciwny i z tego jest widocznym, że odnośnie do nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych, ustawodawca chcąc władzy szkolnej dać możność przeniesienia w interesie służby, p o s t a n o w i ł t o w y r a ź n i e w ustawie krajowej z 1905 roku, ale i tam zabezpieczył jeszcze gwarancyami pozornemi, których dla nauczycieli szkół średnich żadna ustawa nie normuje, z tego prostego powodu, bo ich przeniesienie w drodze służbowej jest wogóle niedopuszczalne.

Tak więc otrząść się potrzeba tylko z przesądu, że nauczyciele szkół średnich są urzędnikami administracyjnymi, otrząść z przesądu, że bez prawa przeniesienia w drodze służbowej grozi jakaś klęska szkolnictwu, a wtedy strona prawna okaże się jasną i prostą.

Nie wątpię, że ostatnia decyzya Trybunału administracyjnego przyczynić się musiała do jakiego takiego otrzeźwienia zbytnią gloryfikacyą własnej władzy przepojonych umysłów w Radzie szkolnej krajowej, — nie wątpię też, że wielu widzi i uznaje, że popełniono błąd, błąd wielki i szkodliwy i uznają potrzebę naprawienia złego.

Jeżeli coś stoi na przeszkodzie, to znowu nic innego, jak jeszcze jeden przesąd. A jego miano „*prestige*“. Ileż klęsk już wynikło z umiłowanej potrzeby salwowania tego, co powszechnie nazywają „prestige“.

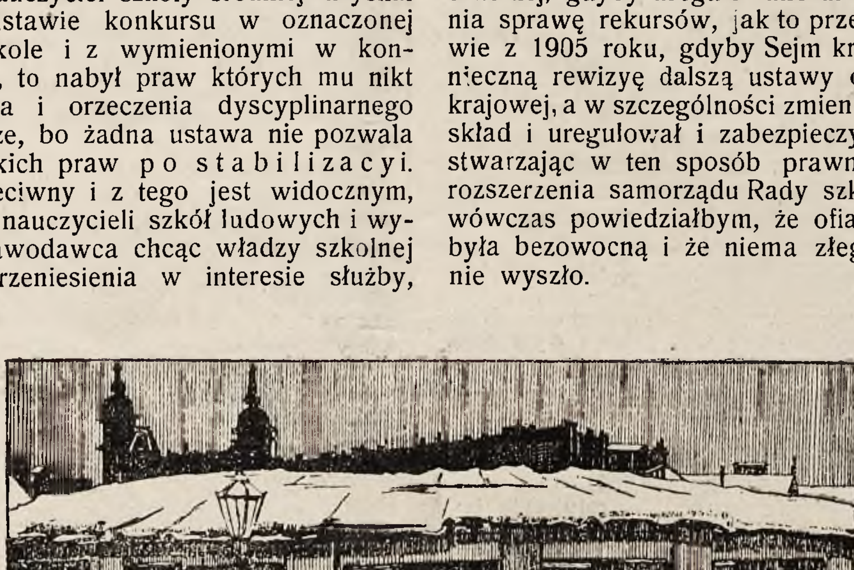
A jednak jak nikła i urojona tego wartość...

Gdyby nie ta mniemana potrzeba, byłaby Rada szkolna krajowa niewątpliwie już dawno uchyliła krzywdę wyrządzoną drowi Janikowi. Wyczułem to z licznych rozmów, jakie z powołanemi osobistościami w tej materyi odbyłem.

I powtórzę tutaj, co tam podniosłem. Czynić ustępstwa w obec podwładnych, cofnąć się z zajętego stanowiska nie jest żadną ujmą. Nawet cesarz czynił ustępstwa i bardzo daleko idące i bardzo często, i może temu właśnie przypisać należy tę niespożytą siłę rządów w tak trudnych warunkach.

Więc i Rada szkolna może się cofnąć, a ogół poczyta jej to za zasługę, a jeśli w ten sposób pozyska się nauczycielstwo dla idei autonomii naszego szkolnictwa — to rzecz warta nawet ofiary.

Gdyby ostatnia decyzya Trybunału administracyjnego do tego doprowadziła, gdyby nadto Rada szkolna, chcąc dojść do jakiegoś ładu prawnego u siebie wprowadziła w końcu u siebie przewidziany jeszcze w ustawie z r. 1905 regulamin, określający kompetencyę sekcyi w Radzie szkolnej, gdyby uregulowano drogą rozporządzenia sprawę rekursów, jak to przewidziano w ustawie z 1905 roku, gdyby Sejm krajowy podjął konieczną rewizyę dalszą ustawy o Radzie szkolnej krajowej, a w szczególności zmienił odpowiednio jej skład i uregulował i zabezpieczył tok instancyi, stwarzając w ten sposób prawne podstawy dla rozszerzenia samorządu Rady szkolnej krajowej — wówczas powiedziałbym, że ofiara dra Janika nie była bezowocną i że niema złego, coby na dobre nie wyszło.



LUDWIK KULCZYCKI.

NIESZCZĘŚCIA NARODOWEJ DEMOKRACYI.

Nacyonaliści nasi, jak to zresztą można było przewidzieć, ponieśli sromotną klęskę, którą sami sprowadzili na siebie przez swoją niesumienność polityczną, arogancyę, oraz sprzeniewierzenie się zasadom demokratycznym i wolnościowym.

Chcąc zamaskować upadek swojego poprzedniego stanowiska w kraju i w Kole Polskiem, narodowi demokraci udają pokrzywdzonych i prześladowanych przez rząd krajowy i całą odpowiedzialność klęski, jaką ponieśli, zwalają na namiestnika. Wygodniej jest im oczywiście rozgłosić przed światem, że nie społeczeństwo, lecz tylko rząd krajowy odwrócił się od nich.

Tylko ludzie bardzo naiwni, nieznający stosunków galicyjskich, uwierzą im.

Oczywiście postawa rządu wobec narodowej demokracyi odegrała pewną rolę, ale bynajmniej nie ona spowodowała ich klęskę.

Rząd krajowy nie popierał ani dr. Liebermana, ani dr. Wyrostka, ani dr. Lisiewicza, a jednak kandydaci narodowo-demokratyczni jak dr. Adam i p. Tomaszewski przepadli, a eks. minister Głąbiński, po dwudziestu latach działalności publicznej, pomimo robionej mu reklamy, uzyskał tylko nader nikłą większość nad dr. Wyrostkiem, występującym po raz pierwszy na szerszej arenie życia publicznego.

Przykładów takich mógłbym przytoczyć więcej. P. Grabski z właściwą sobie blagą, zestawiając ilość głosów otrzymanych przez kandydatów narodowo-demokratycznych w r. 1907 z ilością, jaka padła na nich w roku bieżącym, dochodzi do wniosku, że stronnictwo jego wzrosło. Otóż wywód ten jest zupełnie błędny.

Istotnie, w 1907 r. narodowi demokraci stawiali znacznie mniej kandydatów niż obecnie, dlatego też wiele ich głosów padło wówczas na kandydatów, należących do innych stronnictw. W roku bieżącym uzyskali więcej głosów podczas wyborów, gdyż w większej liczbie okręgów stawiali własnych ludzi.

Najwymowniejszym dowodem ich klęski były wybory w stolicy kraju.

Lwów od samego początku powstania narodowej demokracyi w Galicyi był punktem głównym jej działalności. Tu mieszkali najważniejsi jej kierownicy krajowi, tu posiadała ona od dawna liczną, oddaną sobie młodzież. A jednak właśnie w tym Lwowie poniosła ona największą klęskę. Można też mieć nadzieję, że przy następnych wyborach ze stolicy kraju nie wyjdzie ani jeden narodowy demokrata. P. Grabski dla dodania sobie i kolegom animuszu, urządza różnego rodzaju manifestacye. Nader charakterystycznem było sobotnie zgromadzenie narodowych demokratów w kasynie miejskiem we Lwowie, po którem nastąpił pochód z pochodniami do mieszkania p. Głąbińskiego.

Prezes stronnictwa p. Jan Gwalbert Pawlikowski wygłosił mowę szczerą i naiwną zarazem.

Chcąc wykazać „wiarołomność“ rządu krajowego, opowiedział ciekawe rzeczy o pośle Zamorskim i o usiłowaniach jego celem zdobycia mandatu.

Okazało się, że narodowej demokracyi zależało bardzo na jego obecności w parlamencie. Ponieważ krytykował niedawno zarząd domen w Galicyi w sposób gwałtowny w „Słowie Polskiem“, więc obawiano się, że okoliczność ta spowoduje niechęć do niego rządu krajowego, która doprowadzić może do jego upadku przy wyborach. Aby odwrócić to niebezpieczeństwo, zwrócono się do pośrednictwa niektórych „ziemian ze wschodniej części kraju“. Ci, po porozumieniu się z kim należy, oświadczyli, że pan Zamorski, aby uniknąć akcyi rządu krajowego przeciwko sobie, powinien odwołać w „Słowie Polskiem“ to, co pisał przeciwko zarządowi domen. Stronnictwo z ciężkiem sercem zgodziło się na to, i p. Zamorski napisał artykuł odwołujący poprzednie zarzuty. Mimo to jednak, zdaniem p. Pawlikowskiego, p. Zamorski był zwalczany podczas wyborów.

Należy się wdzięczność prezesowi stronnictwa narodowo-demokratycznego za to cenne wyznanie. P. Grabski twierdził, że stronnictwo jego nie ubiega się o mandaty, tymczasem okazuje się, że dla uzyskania jednego z nich, stronnictwo zgodziło się na krok upokarzający i w najwyższym stopniu niesumienny, na odwołanie zarzutów, skierowanych przeciwko zarządowi domen uważanych za słuszne.

Momentem nader znamiennym, podczas powyższego zebrania, było owacyjne powitanie dla b. posła Wiącka, przyjaciela Paducha, zamieszanego w brudne jego sprawki.

Towarzystwo było też bardzo dobrane i „wyborowe“. Byli posłowie narodowo-demokratyczni, był p. Grabski za swoją gwardyą, był Wiącek, był wreszcie fronder konserwatywny, jeden z największych reakcyonistów galicyjskich, hr. Stanisław Stadnicki. Co za wspaniały widok: Wiącek protestuje wraz z innymi przeciw nieuczciwościom popełnianym podczas wyborów, a hr. Stadnicki przyłącza się do tych, łamiąc ręce nad brakiem swobód obywatelskich w Galicyi. Ładne towarzystwo.

Po zakończonym zgromadzeniu uczestnicy jego udali się do p. Głąbińskiego, do tego „męczennika“ narodowego, który intrygował z innymi przeciwko Bilińskiemu, aby zająć miejsce w ministeryum, i uzyskał je wreszcie bez żadnych zapewnień poważnych w sprawie kanałów, który następnie pozostał na stanowisku z Bienerthem i po rozwiązaniu parlamentu.

„Męczennik“ narodowy wreszcie ustąpił „dobrowolnie“ przewidując, że trzeba będzie odpowiadać za § 14. i że może być w sposób niezbyt delikatny wysadzony z fotelu ministeryalnego.

Widocznie sam p. Głąbiński poczuł pewien niesmak w urządzonej mu manifestacyi, gdyż wyraził się, że pragnie, aby już była ostatnią. Wreszcie po kilku improwizowanych mówkach, całe to „doborowe towarzystwo“ rozeszło się po domach. Wyjątek stanowił poseł Zamorski, który zapomniawszy, jak pisze „Czas“ o swoich przeprosinach rządu, postanowił się „uniezależnić“, i wygłosił kilka frazesów pod kolumną Mickiewicza przeciwko namiestnikowi.

Czy nieszczęścia narodowej demokracyi skończą się na klęsce wyborczej? Jest to co najmniej wątpliwe.

Wbrew temu, co pisał p. Grabski, nacyonaliści po kampanii wyborczej wychodzą nie skonsolidowani wewnątrz, lecz pokłóceni. Wyjście ze stronnictwa paru posłów narodowo-demokratycznych jest prawie pewne. Nastąpi to naturalnie nie w tej chwili, lecz przy pierwszej różnicy zdań w Kole Polskiem. Pozycya samego p. Grabskiego jest zachwiana. Zdaje się, że mąż ten wkrótce zapała „wielką miłością“ do „nauki“ i pod tym pozorem ulotni się ze stronnictwa, nie czekając aż go poproszą, aby je opuścił.

Niedawno „Gazeta Wieczorna“ pisała, że nie program narodowo-demokratyczny jest zły, lecz taktyka stronnictwa nacyonalistycznego.

Niema nic błędniejszego nad powyższy pogląd. Istotnie, nacyonalizm wszędzie i zawsze związany jest z demagogią; co zaś do programu demokracyi narodowej, to odznaczał się on zawsze mglistością, dwuznacznością i pustą frazeologią, która umożliwiała rozmaite szulerskie walki polityczne.

Nieuzasadnione też są nadzieje pewnych żywiołów dotyczące możliwości zreformowania narodowej demokracyi, z chwilą kiedy p. Grabski „odda się nauce“. Złudzenia te opierają się na wierze w takt i „rozum polityczny“ p. Głąbińskiego. Niezawodnie, eksminister kolei jest bardziej ugodowy od p. Grabskiego i zna lepiej od niego austryacki teren polityczny; okoliczność ta jednak, sama przez się, nie wyzwoli jeszcze p. Głąbińskiego od frazeologii nacyonalistycznej, i nie da mu programu politycznego, którego nie miał nigdy i nie ma.

Jeżeli zaś nacyonalizm wszechpolski ulotniłby się, wraz z różnymi swoimi specyficznymi zapachami, pochodzącymi od Dmowskich, Balickich i Grabskich, to cóżby wówczas zostało z narodowej demokracyi? Nic oczywiście.

Nie reformowanie narodowej demokracyi powinno być zadaniem żywiołów ludowych i postępowych, lecz jej zniszczenie jako stronnictwa.

Wszechpolacy jako odrębna organizacya nigdy nie tworzyli siły bardzo poważnej. Wpływ, jaki posiadali, zawdzięczali przeważnie: bierności szerokich kół naszego społeczeństwa, które pozwalały im się teroryzować, sojuszom z różnemi niezorganizowanemi grupami społecznemi, wreszcie opanowaniu rozmaitych początkowo bezpartyjnych instytucyi społecznych.

Obecnie społeczeństwo nasze ożywiło się znacznie, i nie jest już tak bierne jak dawniej; niezorganizowane grupy społeczne jak stojałowczycy, zwolennicy posła Kozłowskiego, a nawet i podolacy, skutkiem ogólnego postępu, w mniejszym, albo większym stopniu osłabły. Pozostają więc instytucye społeczne i kulturalne, opanowane przez wszechpolaków. Otóż żywioły postępowe różnych odcieni, powinny wytworzyć nowe analogiczne do tamtych.

Postępowe koła społeczne w całym kraju powinny się porozumieć ze sobą a zwłaszcza ze Lwowem. Nie trzeba tracić ani chwili czasu.

M. L.

Z DZIEJÓW MĘCZEŃSTWA MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

Już parokrotnie pisaliśmy w „Życiu“ o niesłychanej zaiste w swym tragizmie, fatalnej, zaniedbanej, niedocenionej przez opinię naszą sprawie studentów Wyższej szkoły lasowej we Lwowie, pojmanych i więzionych przez rząd rosyjski pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Austryi za to, że wypełniali szkolne obowiązki podczas praktyk letnich na rzecz swego zakładu. Było to w jesieni r. 1910. Upłynęły długie miesiące, a sprawa coraz groźniejszy bierze obrót, a niebezpieczeństwo się mnoży, interwencye zawodzą, opinia polska śpi w najlepsze. Nowe odtąd nastąpiły aresztowania. Zbliża się moment postawienia nieszczęśliwych ofiar gorliwości żandarmskiej przed sądem wojennym. Opinia śpi w najlepsze!

Ze sfer młodzieży, studyującej w Wyższej szkole lasowej we Lwowie, otrzymaliśmy obszerny komunikat z objektywnem przedstawieniem stanu rzeczy. Streszczamy wywody memoryału.

* *
*

Po skończonym roku szkolnym 1909/10 dyrekcya szkoły wysłała na praktykę słuchaczów: Stanisława Skowrona, poddanego austryackiego i Kazimierza Dąbrowskiego, poddanego rosyjskiego, na Wołyń do dóbr Połonne, wł. hr. Karwickich. Zadaniem tych kandydatów było pod kierunkiem ukończonego słuchacza szkoły lasowej Czesława Zarzyckiego, tudzież nadleśniczego dóbr Połonne p. Łękawskiego, poddanego austryackiego, zebrać daty, potrzebne do ułożenia planu gospodarstwa lasowego, t. j. porobić zdjęcia granic lasu, dróg, linii drzewostanów i t. d.

Słuchacze stosownie do obowiązujących przepisów wysyłali regularnie co tygodnia raporty ze swych czynności do dyrekcyi szkoły. W październiku r. z. po rozpoczęciu się roku szkolnego rozeszła się pogłoska, że słuchaczy tych i nadleśniczego aresztowano pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Austryi i osadzono w więzieniu w Żytomierzu. Wkrótce też nadeszło potwierdzenie tej wieści, a niebawem nastąpiły i dalsze aresztowania. Uwięziono mianowicie słuchacza Bolesława Jackowskiego, poddanego rosyjskiego, który również przebywał na praktyce w Połonnem i p. Karaśkiewicza, pełnomocnika dóbr ordynacyi ołyckiej na Wołyniu. To ostatnie aresztowanie spowodowane było faktem, że w lasach ołyckich przebywali na praktyce również dwaj słuchacze wyższej szkoły lasowej, którzy jednak szczęśliwie zdołali

wyjechać jeszcze przed aresztowaniem swych kolegów. Za p. Karaśkiewicza ofiarowała administracya ordynacyi ołyckiej kaucyę w wysokości 20.000 rubli, jednakże bezskutecznie.

Jak dziś napewno wiadomo — wszystkie te aresztowania spowodowane zostały zemstą osobistą.

St. leśniczy hr. Karwickich, p. Łękawski wydalił z lasu nieprawnie polującego rotmistrza żandarmeryi z Kowla, który natychmiast zrobił doniesienie, że w lasach Połonne zatrudnieni są przy pomiarach słuchacze szkoły lasowej, rzekomo w tym celu, aby zdjęcia poczynione służyć mogły jako daty topograficzne sztabowi austryackiemu. Podobne doniesienie wpłynęło na p. Karaśkiewicza ze strony oficyalistów, wydalonych za rozmaite sprzeniewierzenia. Na podstawie tych denuncyacyi nastąpiły aresztowania wszystkich uwięzionych.

Niezwłocznie po otrzymaniu wiadomości o aresztowaniu przedsięwzięła dyrekcya Szkoły lasowej tak bezpośrednio, jakoteż za pośrednictwem posła dr. Tomaszewskiego wszelkie kroki, zmierzające do uwolnienia aresztowanych. Ministerstwo spraw wewnętrznych zwróciło się z interwencyą dyplomatyczną do Petersburga, na co otrzymaliśmy w marcu odpowiedź, że studenci wyższej szkoły lasowej uwięzieni są pod zarzutem szpiegostwa.

Z dokumentów będących w posiadaniu dyrekcyi, z których wynika jasno niewinność oskarżonych, sporządzono uwierzytelnione kopie i wydano je rodzinie uwięzionego p. Łękawskiego. Dokumenty te zaginęły jednak w sposób dotychczas niewyjaśniony i nie doszły do rąk właściwych. Śledztwo ciągnie się już 8 miesięcy.

Wniknąwszy w motyw aresztowania, a jest nim bezsprzecznie tylko obrażona godność osobista rosyjskiego żandarma, nie trudno się domyśleć, znając stosunki rosyjskie i nieobliczalną samowolę jego organów, jak długo śledztwo takie potrwać jeszcze może i jakim być może jego koniec, gdyż mamy jaskrawe dowody, że nie przekonanie o winie oskarżonych, tylko mściwość osobista jest tu główną sprężyną tej sprawy.

Dla zilustrowania rozpaczliwego położenia uwięzionych, dodać wypada, że w czasie trwania śledztwa nie wolno oskarżonym mieć obrońcy prawnego, co gorsze nie wolno im mieć tłómacza. Przedstawmy sobie teraz oskarżonego St. Skowrona, pochodzącego z zachodniej Galicyi, nie umiejącego ani słowa po rosyjsku, przed sądem wojennym. Żandarm pyta, sam sobie (rozumie się wygodnie) odpowiada i zeznanie protokołuje — a potem: „oskarżony podpisz“. W razie niepodpisania protokołu dalsze przesłuchiwania nie mogą się odbywać i grożą zatrzymaniem śledztwa aż do chwili namysłu oskarżonego. Zrozpaczony więzień, trawiony chorobą, nękany ustawicznie szykanami, godzi się, aby tylko doczekać końca.

I tak gromadzi się materyał dowodowy — a potem sąd — wyrok na podstawie § 111 ust. karn. 12 lat ciężkich robót. I znowu jedno młode życie zmarnowane, znowu jedno zdrowe ramię i nadziei pełne serce wydarte społeczeństwu.

Czyż nam wolno dać brać sobie najlepsze siły, najlepsze serca? Nie o jednostkę zresztą chodzi, tu zagrożony byt dziesiątek dzisiaj, a może setek w przyszłości.

Oto rząd i opinia publiczna rosyjska, informowana przez złą wolę żandarmeryi, przyszły dziś do przekonania, które zresztą jawnie objawiają, że Wyższa Szkoła lasowa pod pozorem praktyki wakacyjnej, wysyła słuchaczów swoich w granice państwa rosyjskiego, a daty przez nich zebrane oddaje do dyspozycyi sztabowi generalnemu w Wiedniu.

Jest to moment niezwykle utrudniający obronę uwięzionym, ponieważ sąd oficyalnie przyznaje im możliwość nieświadomości czynu, jednak w ich osobach pragnie ukarać rząd austryacki. Jest to co prawda system niestety i przez inne państwa praktykowany. Ofiarą tego systemu mają paść dziś nie tylko ludzie całkiem niewinni, ale i powaga instytucyi naukowej, jedynej na ziemiach polskich, instytucyi, która łączyła w sobie młodzież polską z pod wszystkich zaborów, a która była po zamknięciu rosyjskich szkół wyższych dla studentów polaków jedynem prawie dostępnem źródłem wiedzy fachowej. Obecnie wskutek oszczerczej opinii władz rosyjskich odnośnie do szkoły naszej uniemożliwiony jest powrót w granice Rosyi wszystkim słuchaczom, kończącym studya w roku bieżącym, a następnie zagrożony jest byt samej instytucyi, ze względu na mogącą się prawie o połowę zmniejszyć frekwencyę, przez ubytek słuchaczów z pod zaboru rosyjskiego.

Jak poważne jest przekonanie władz rosyjskich co do szpiegowskiego charakteru szkoły lasowej, wskazuje fakt: jeden z profesorów tejże szkoły miał wygłosić dnia 10 lutego br. odczyt fachowy w Centralnem Tow. Rolniczem w Królestwie Polskiem, nie mógł się tam jednak udać z obawy o bezpieczeństwo osobiste. Zamierzona zaś podróż naukowa profesorów celem zbadania stosunków lasowych ziem polskich nie przyszła do skutku z tych samych względów.

Jak z przytoczonych faktów wynika, sprawa szkoły odnośnie do jej powagi i do jej egzystencyi jest tak zagrożoną, że obowiązkiem każdego obywatela jest wystąpić jak najkategoryczniej w jej obronie. Sądzimy, że społeczeństwo upomni się o swoją własność, że chwyci się jak najradykalniejszych środków, aby obalić haniebny zarzut, ciążący na instytucyi krajowej. Społeczeństwo nie może ustąpić przed samowolą carskich żandarmów.

* * *

A teraz dalsze wiadomości.

W Humaniu na Ukrainie został przed tygodniem aresztowany p. Kazimierz Chrzanowski, zięć aresztowanego poprzednio p. Karaśkiewicza, pełnomocnik ordynacyi ołyckiej na Wołyniu. P. Chrzanowski bawił w Galicyi i skoro tylko powrócił do domu, został aresztowany i odstawiony do więzienia w Kijowie.

Wielu absolwentów Szkoły lasowej nie może wracać za kordon w strony rodzinne, ostrzeżono ich bowiem, że są poszukiwani przez żandarmów. Posiadacze lasów wahają się z przyjmowaniem leśników lwowskich na praktyki wakacyjne. Wielu słuchaczy nie może wyjechać na wakacye ze Lwowa. Trwoga i rozpacz panuje wśród młodzieży ze Szkoły lasowej...

Czyż milczeć będzie rząd? Czyż milczeć będzie parlament austryacki? Czyż milczeć będzie Koło Polskie?

Słyszeliśmy, że postępowi i socyalistyczni posłowie m. Lwowa wniosą już w pierwszych dniach sesyi interpelacyę w Izbie. Idzie o to, aby interpelacyi tej nadany był potrzebny n a c i s k.

Umie Austrya groźnie interweniować, gdy idzie o ochronę brygantów albańskich przed armią Torguta Szefket-Paszy. Mamy prawo żądać, aby bardziej jeszcze była stanowczą, gdy idzie o obronę własnych obywateli i własnych instytucyi naukowych przed rozbojem żandarmów rosyjskich. Wierzymy, że gdyby nawet zmąciła przy tem harmonijne stosunki z sąsiadem, silna będzie sympatyą i poparciem narodu, którego synami są prześladowani leśnicy lwowscy...

SILVA RERUM.

KATABASIS. To, co dzieje się w Królestwie Polskiem równa się pogromowi całkowitemu stronnictwa demokratyczno-narodowego. Wstrząsnęły niem wybory galicyjskie. Uchwałami warszawskiemi dobiło się samo. Z fatalną jakąś konsekwencyą przebywa ono ostatnie etapy swojej *katabasis* od stanowiska rządu narodowego do stanowiska petersburskiego „Kraju“ i Erazma Piltza. Komendy Dmowskiego *„sauve qui peut“* — usłuchano. Tylko pojęto ją nieco inaczej, niż chciał ów hetman, zdegradowany na Papkina... Oto „uchodzi kto może“ od zniesławionych sztandarów. Uchodzi kto może od buławy z dzwonkami błazeńskiemi. Uchodzi kto może od niegodnej farsy pod tytułem — polityka narodowa. Z lekkim bagażem śpieszy Roman Dmowski w objęcia Straszewiczów i Piltzów. *Masz tu kaduceus polski — mąć nim wodę, mąć!*

Posypały się protesty, Nietylko z łamów frondującego *Gońca*, którego polemika z *Gazetą Warszawską* przeszła w szereg osobistych zniewag i spraw pojedynkowych. Zbuntowała się rdzennie endecka *Ziemia Lubelska* — wystąpiła z namiętną filipiką:

„Niefortunny naśladowca margrabiego Wielopolskiego... zapragnął, idąc wzorem jego organu, który nazajutrz po brance opowiadał o radości poborowych, — naigrawać się ze zmajoryzowanych na zjeździe przeciwników. Kierownicy nowego kursu liczą na to, że wobec ogromnego zniechęcenia do polityki szerokiego ogółu, wobec kolejnego opuszczania szeregów stronnictwa narodowej demokracyi przez ludzi, którzy już dawniej nowy kurs przewidzieli, wobec ewentualności nowej, wprawdzie licznej, lecz sporadycznej i niezorganizowanej secesyi „niepożądanych żywiołów“, zostawiających w ten sposób wolne pole w stronnictwie nowemu kursowi, — że wobec tego wszystkiego ogół dawnego stronnictwa narodowo-demokratycznego nietylko nie zdobędzie się na zorganizowaną opozycyę przeciwko temu, co się będzie rzekomo w jego imieniu działo, ale nawet na oficyalne rozwiązanie niegdyś istniejących lokalnych organizacyi stronnictwa. I w ten sposób będzie można w dalszym ciągu operować fikcyą, że za „nowym kursem“, figurującym na czele „stronnictwa“ stoi cała masa społeczeństwa polskiego, która niegdyś (wprawdzie pod zupełnie innem hasłem) przynależność swoją do demokratyczno-narodowego sztandaru zamanifestowała.

Ale kto wiatr sieje, zbierze burzę. A czas już najwyższy oczyścić stęchłą atmosferę publiczną, w której pod maską Narodowej Demokracyi tworzy się Stronnictwo Narodowej Demoralizacyi“!

Ziemia Lubelska nie na wiatr słowa rzucała. Dziś niema lubelskiej organizacyi demokratyczno-narodowej! Zbuntowało się Zagłębie sosnowickie ze swym organem *Kuryerem Zagłębia*. Indywidualna secesya staje się masową. Konstatuje ją *Gazeta Warszawska* z nieszczerym grymasem lekceważenia. „Obecny *exodus* wydaje się bodaj czy nie ostateczny — czytamy w *Gońcu* — niewiele już bowiem kto pozostanie w stronnictwie..“

A przyszłość stronnictwa, młodzież ze „Zjednoczenia“ zagranicznego, wpływom stronnictwa tego podległa, w naiwnych, pełnych młodzieńczego patosu, niezręcznych ale gorących odezwach wypowiada wojnę temu stronnictwu i zapowiada jego zagładę.

Ręce zaciera mistrz Erazm Piltz.

Oto w jego ślady wstępują wczorajsi wodzowie narodu. Jak on hańbę zbierają.

Jak on podsuną się może jutro do rządowego żłobu i pisać będą o zasługach *Gazety Warszawskiej* względem cesarstwa i monarchy.

PAPKIN JAKO WÓDZ NARODOWY... Czytamy w ostatnim numerze „Prawdy“ warszawskiej: „...Rycerska poza hiszpańskiego granda nie powiodła się p. Dmowskiemu wcale. Jego heroizm spalił na panewce, pozostawiając obłoczek dymu, w którym chciał on zataić swe rzeczywiste oblicze. Miast roli Cyda, odegrał on pospolitą rolę nieśmiertelnego — w komedyi polskiej — Papkina.

„A bierz licho takie znoje!
Ależ bo to było żwawo:
Dyablom gromił w lewo, w prawo!
Pot strugami ciecze z czoła —
Któż me dzieła pojąć zdoła!
Tył podałem? — Cóż to znaczy,
Z tyłu, z przodu, — wszystko jedno,
Dobry rycerz wszędzie straszny!“

Tak! miał słuszność stary Fredro: dobry rycerz wszędzie straszny! A to, że kłamie, któż mu policzy między grzechy, skoro kłamstwo, niby ofiarę wonną, składa na ołtarzu ojczyzny, która — Bóg jeden widzi — jak bardzo pragnie, aby ją okłamywano, aby ją usypiano, aby ją w kłamstwach balsamowano...

A gdy ktoś wreszcie, przez zaciśnięte zęby, rzuci złowrogo:

— To bezczelność!... — wówczas p. Dmowski, bez chwili namysłu, odpali mu słowami tegoż Papkina:

— Nie inaczej!
Bezczelności trzeba było,
Aby walczyć z taką siłą.

Dotychczas znaliśmy p. Dmowskiego w polityce, jako kuglarza i fantastę; obecnie przekonaliśmy się, że jako człowiek, jest Papkinem“.

HONOROWE POSŁY. Doniosło „Słowo Polskie“, iż znana O. N. (organizacya narodowa) okr. V. na walnem swem zebraniu uchwaliła na wniosek dra Wereszczyńskiego (świetnego aranżera w karnawale) „uznać dra Głąbińskiego za honorowego posła V. okręgu wobec tego, że obecny poseł V. okręgu nie był kandydatem O. N.“

Że O. N-a pociesza się w V. okręgu pomysłami karnawałowymi, nic dziwnego. I nie wkraczalibyśmy zgoła w jej niezaprzeczalną kompetencyę do uznawania, lub nie uznawania kogoś swoim posłem, gdyby nie pewne refleksye, które nam się nasunęły co do taktu i słuszności owej uchwały.

Przedewszystkiem mandat honorowy od „organizacyi narodowej“ okręgu V. należał się upadłemu kandydatowi, p. Tomaszewskiemu. Przyzwoitość wprost wymagała, ażeby mu tej pociechy nie odbierać. Mylną jest interpretacya pojęcia „honorowy poseł“ w tym sensie, jakoby mógł nim być tylko ktoś, kogo gdzieś wyborcy wybiorą. Raz trzeba zrozumieć, że nie jacyś tam wyborcy, ale O. N. powołana jest do kreowania posłów. Wyborcy są nawet czynnikiem niepewnym narodowo, albo i zgoła antynarodowym. Témoin — wybory czerwcowe. Mylnym jest również pogląd, jakoby „honorowy poseł“ musiał siedzieć we Wiedniu. Może on również dobrze być dyrektorem we Lwowie. Honor pozostaje honorem.

Pana Głąbińskiego należało natomiast kreować honorowym ministrem kolei. Jest to naprawdę myśl wielka, godna O. N.-go i O. N-ej. Poniekąd zbliżyła się do niej O. N-a, gdy w sobotę 8 b. m. urządziła na cześć jego paradę. Tylko słowa lękano się wyrzec. Honorowy minister kolei! Uznany przez zjednoczone O. N-e. O resztę furda!

Honorowym posłem z miasta Sambora kreowany został z ceremoniami (niczem uroczystości koronacyjne w Londynie!) b. poseł i upadły kandydat — hr. Skarbek. Właściwie stamtąd ta oryginalna figura kotylionowa przyjechała do Lwowa i tutaj dopiero spaczona została przez partaczy.

Co do nas, życzymy szczerem sercem obu „honorowym posłom“, aby przy następnych wyborach takie same „honorowe mandaty“ przypadły im również... w ich obecnych okręgach.

MŁODZIEŻ PRZECIW ODSTĘPSTWU NARODOWEMU. Perfidna uchwała Zjazdu stronnictwa narodowo-demokratycznego w Królestwie Polskiem, wzywająca do zaprzestania bojkotu szkół rządowych rosyjskich, spotkała się z ogólnem oburzeniem patryotycznej opinii polskiej. Przedewszystkiem gniewem oburzenia zawrzała młodzież polska. Ona bowiem w sprawie takiej wagi jak bojkot szkoły rosyjskiej może mieć głos przedewszystkiem i bez zasięgnięcia jej opinii nie wolno wzywać do rozerwania bojkotu, nawet takim hetmanom, jak p. Dmowski.

Policzek wymierzony p. Dmowskiemu przez p. Ostrowskiego był odruchowym, i dlatego może niewłaściwym protestem młodzieży przeciw niepoczytalnej polityce tego ograniczonego megalomana, obecnie jednak przyszła kolej na policzki moralne dla polityka „bez zastrzeżeń“ i jego komilitonów. W ubiegły tydzień odbyły się w sprawie głosów antybojkotowych wiece akademi-

ckie w Krakowie i we Lwowie, olbrzymie co do ilości uczestników, będące jednym głosem potępienia dla uchwały zjazdu stronnictwa demokratyczno-narodowego w Warszawie.

W Krakowie odbył się w powyższej sprawie wiec ogólno-akademicki w uniwersytecie w sali Kopernika dnia 5 b. m. Przewodniczył na wiecu p. Kielar, prezes „Znicza“, referat wygłosił p. Wyszyński, poczem po ożywionej dyskusyi uchwalono rezolucyę: 1) oświadczającą się za bezwzględnym bojkotem szkół rosyjskich średnich i wyższych, 2) piętnującą ostatnią enuncyacyę stronnictwa demokratyczno-narodowego, jako objaw ugodowy i 3) wzywającą społeczeństwo do bezwzględnej obrony szkoły polskiej i do stworzenia racyonalnego systemu wychowania narodowego, oraz dania trwałych podstaw materyalnych szkołom polskim w Królestwie.

Wiec ogólno-akademicki we Lwowie, zwołany przez Towarzystwa akademickie „Kuźnica“, „Czytelnia Akademicka“ i „Życie“ odbył się 7 b. m. w sali „Gwiazdy“. Wiec poprzedził szereg konferencyi w polskich towarzystwach akademickich we Lwowie, gdzie sprawę bojkotu szkół rządowych w Królestwie Polskiem gruntownie roztrząsano. Na wiecu z dnia 7 b. m. obrano przewodniczącym dr. Kazimierza Świtalskiego („Życie“), poczem bez dyskusyi uchwalono następującą rezolucyę: „Polska młodzież akademicka, zebrana na ogólnym wiecu akademickim dnia 7 lipca 1911 r., oświadcza jednomyślnie, że szkoły polskie w Królestwie uważa za jedyną zdobycz narodową tej dzielnicy w ciągu ostatniego 50-lecia, że w bojkocie szkół rosyjskich wszelkiego stopnia widzi zgodnie z prawomocnemi dotąd i przez społeczeństwo uznanemi uchwałami zjazdu w Zakopanem, jedyny środek utrzymania tej zdobyczy nadal. Wobec czego polska młodzież akademicka we Lwowie uznaje ostatnie uchwały stronnictwa dem. nar. w Królestwie powzięte bez żadnego uprzedniego porozumienia się z przedstawicielami młodzieży, a wzywające społeczeństwo do zaniechania bojkotu szkół rosyjskich za politycznie zgubne i narodowo demoralizujące, zaś w formie i sposobie ogłoszenia za podstępne. Treść ich odrzuca z oburzeniem i zapewnia te koła społeczeństwa i młodzieży w Królestwie, które niewzruszenie stoją przy bojkocie na najważniejszej dziś placówce naszej walki politycznej w tej dzielnicy, że całą duszą jest z nimi, oraz, że użyje wszelkich sił i środków aby im, w walce tej przyjść czynnie z pomocą“.

ARESZTOWANIE SAWICKIEGO. Przed dwoma tygodniami rozeszła się wiadomość o aresztowaniu we Lwowie Leszka Wacława Sawickiego, słuchacza politechniki lwowskiej pod zarzutem szpiegostwa. Wiadomość ta wywołała w sferach młodzieży zdumienie i wydała się wręcz nieprawdopodobna. Znano Sawickiego jako młodzieńca bardzo spokojnego, nie narzucającego się nikomu z podejrzaną ciekawością, syna znanej i zacnej rodziny z Królestwa, w dodatku dobrze sytuowanego, co wykluczało występek z nędzy. U dyrektora policyi, r. Reinländera interweniowali zaproszeni przez koła młodzieży poseł Lisiewicz i poseł Hudec; odpowiedziano im, że poszlaki są liczne, poważne, że sprawa musi być sądowi przekazana. Przyszło czekać na ujawnienie tych poszlak. Tymczasem żądza sensacyi robiła swoje: nazwisko biednego młodzieńca poniewierało się po gazetach, które z bezmyślnością, właściwą naszej prasie, z góry wydały nań wyrok potępienia. „Świat“ warszawski fotografię zamieścił aresztowanego. Skąd ta fotografia?

Wreszcie dowiedziano się z gazet nieco o tych poważnych poszlakach. I jeżeli radca Reinländer lepszych nie posiada, to nie ulega już dla nas wątpliwości, że Sawicki brał tylko udział w legalnych sprawach legalnej instytucyi, padł zaś ofiarą oburzającej bezmyślności swego otoczenia.

Sprawa sądowa w toku; niewątpliwie zakończy się ona rozwikłaniem tej tragedyi pomyłek. Nie wynagrodzi to cierpień moralnych, które przebywa Sawicki i jego blizcy. Teraz, gdy rząd rosyjski leśników naszych więzi i wyłapuje jako szpiegów Austryi, tego istotnie tylko brakowało, aby władze galicyjskie aresztowały studentów z Królestwa na podstawie najbłahszej jako szpiegów Rosyi.

Wiemy, że p. Reinländer jest człowiekiem kultury i że nie zerwał węzłów ze społeczeństwem polskiem; wiemy również, że musi on bacznie śledzić robotę szpiegów i prowokatorów carskich. Mamy jednak nadzieję, że podobnych przykrych pomyłek zaoszczędzi nam na przyszłość...



Z RAPTULARZA.

LUDOWCY W KOLE POLSKIEM WE WIEDNIU. Ubiegłego tygodnia odbyło się w Krakowie posiedzenie klubu nowowybranych posłów ludowych polskich, na którem omawiano sprawy polityki parlamentarnej. Prezesem klubu ludowców w Kole Polskiem wybrano p. Stapińskiego i desygnowano go z klubu ludowego na wiceprezesa Koła. W sprawie prezesury Koła oświadczono się za dr. Bilińskim z zastrzeżeniem, że dr. Biliński poczyni względem żądań klubu posłów ludowych pewne zobowiązania, zwłaszcza co się tyczy sprawy budowy kanałów. Dalej oświadczono się przeciw projektowanym zmianom statutu Koła polskiego, a na wniosek p. Długosza powzięto uchwałę stwierdzającą, że stronnictwo ludowe nie ma żadnych zobowiązań względem innych stronnictw, oraz zastrzegającą dla stronnictwa ludowego wolną rękę w działaniu dla dobra narodu, w granicach zakreślonych statutem Koła polskiego.

POSŁOWIE POLSCY ZE ŚLĄSKA AUSTRYACKIEGO wstąpią do Koła Polskiego we Wiedniu, przyczem w myśl uchwały powziętej na naradzie połączonych stronnictw narodowych na Śląsku, odbytej w Cieszynie 5 b. m. nie będą popierali postulatów rządowych, dopóki rząd nie zmieni wrogiego względem ludności polskiej na Śląsku stanowiska. Uchwała powyższa w dalszym ciągu wzywa Koło Polskie do interwencyi u czynników miarodajnych, celem uzyskania dla ludności polskiej tych praw, jakie posiada na Śląsku ludność niemiecka.

ECHO SPRAWY RAPPERSWILSKIEJ. Nareszcie protesty ludzi kulturalnych przeciw niepoczytalnej gospodarce w instytucyi rapperswilskiej znajdują oddźwięk. Wydział Towarzystwa opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury w Krakowie postanowił przyjrzeć się zblizka rządom Gałęzowskich i de Rosenwerthów-Rożyckich w Rapperswilu. W tym celu powziął na posiedzeniach z 1. i 5. b. m. następujące uchwały: 1) wysłać na zjazd w Rapperswilu (7—9 sierpnia b. r.) dwu delegatów z łona wydziału Tow. 2) zawiadomić o tem p. Gałęzowskiego 3) zwrócić się do Wydziału krajowego i Rady miasta Krakowa z prośbą, by jako instytucye subwencyonujące rapperswilskie muzeum wysłały też swych delegatów na zjazd.

TAJEMNICA DYPLOMATYCZNA. Kiedy swego czasu młodzież ze Szkoły lasowej przyszła do b. posła okręgu V. p. Tomaszewskiego, z prośbą o interwencyę w sprawie studentów naszych, aresztowanych na Wołyniu i zagrożonych katorgą, p. Tomaszewski odrzekł pono dyplomatycznie, że czynić będzie starania, ale ostrożnie, aby nie drażnić ministra. Nie drażnić czem? Czyjego ministra nie drażnić? To już sekret dyplomacyi p. Tomaszewskiego.

Świeżym sekretem dyplomacyi „Słowa Polskiego" jest zupełne przemilczenie memoryału młodzieży z Wyższej szkoły lasowej, rozesłanego wszystkim pismom i wydrukowanego niezwłocznie przez wszystkie prawie dzienniki...

A może tak: niech sobie ginie Szkoła lasowa lwowska, skoro otwieramy młodzieży drogę do rosyjskiego uniwersytetu w Warszawie?

NOWA DOCENTURA RUSKA NA WSZECHNICY LWOWSKIEJ. Z „Wieku Nowego" z dnia 12 b. m. dowiadujemy się, że na podstawie wykładu habilitacyjnego p. t. „Sprawa bośniacka w historyi Austro-Węgier", wygłoszonego przez Dr. Stefana Tomaszewskiego, profesora gimnazyum ruskiego we Lwowie na posiedzeniu członków wydziału filozoficznego, postanowił Wydział filozoficzny wszechnicy lwowskiej zaproponować ministeryum oświaty nominacyę Dr. S. Tomaszewskiego na docenta historyi austryackiej z ruskim językiem wykładowym.

DOKUMENTY XX. WIEKU. Sąd praski skazał literata wiedeńskiego Wilhelma Börnera na 14 dni ciężkiego więzienia za bluźnierstwo. Polegało ono na tem, że wspomniał w dłuższym odczycie o opinii wielu uczonych amerykańskich, angielskich i niemieckich, jakoby Chrystus nie istniał. Zaznaczył przy tem wyraźnie, „że są to hipotezy, które być może nigdy nie będą naukowo stwierdzone". Równocześnie oskarżyła go prokuratorya o „pochwałę karygodnych czynów" t. j. pedagogicznej działalności Ferrera. Wspomnienie jego nazwiska uznała prokuratorya za zakłócenie porządku publicznego. Od obu ostatnich zarzutów sąd oskarżonego uwolnił. Z innych charakterystycznych w procesie momentów podkreślić należy, że akt oskarżenia uważał za równoznaczne wyrażenia „mit" i „symbol", „absolut" i »ideał". Ze względów cenzuralnych ograniczyć się musimy do pytania, która szkoła średnia wydała świadectwo dojrzałości prawnikowi o tak znakomitych wiadomościach filologicznych.

Równocześnie sąd przysięgły bawarski, złożony z 12 członków półanalfabetów, skazał na 8 miesięcy więzienia dr. Semmerau'a za wydanie dzieła markiza de Bayros „Opowiastki przy toaletce". Wybitne, wedle orzeczenia literatów dzieło artystyczne, uznane zostało za „niemoralne". Do poziomu sądu dostroił się prokurator, który przemawiał gwarą, argumentował tytułem markizowskim autora i zakończył swą mowę okrzykiem „Pfui Deibel" (Teufel.) I my tylko tym wykrzyknikiem notatkę zakończyć możemy.

W KONFLIKCIE MAROKAŃSKIM I ALBAŃSKIM nie zaszła dotąd zmiana na lepsze. Widocznem jest już dziś, że najoporniej wobec rozbioru Marokka zachowa się Anglia. Najmniej szowinistyczne pisma angielskie dowodzą, że W. Brytania nie może dopuścić do usadowienia się floty niemieckiej na wybrzeżach wolnego oceanu, skąd by mogła w razie wojny sparaliżować cały handel morski Anglii. Do opinii tej przyłączyły się również Stany Zjednoczone. Niemcy będą się więc prawdopodobnie musiały pożegnać z marzeniem o stacyi węglowej w Agadirze, a odszkodowania poszukać w ustępstwach finansowych Francyi w interesach bagdadzkich i perskich. Konferencya europejska dotąd w sprawie marokańskiej nie zwołana.

Nie mniej strawy dostarcza prasie europejskiej kraj „wesołej wdówki" obejmujący protektorat nad zbuntowaną Albanią i wymachujący szabelką w kierunku tureckiego sąsiada. Wystąpienie najnowszego „mocarstwa" stanowiłoby tylko wyborny temat do nowej operetki, gdyby nie to, że utrudnia porozumienie powstańców z rządem otomańskim, który przyjąwszy żądania albańskie i przedłużając ustawicznie termin zawieszenia broni, musi czekać z dobytą szablą. Rosya chce podobno wywrzeć nacisk na Czarnogórę w kierunku pokojowym przez odjęcie jej władcy obroku — równocześnie jednak wiedeńska „Zeit" wypisuje „Räubergeschichten" o bezprawiach tureckich, mających robić nastrój, a we Wiedniu bawi na wilegiaturze Ismael Kemal, organizator kwietniowej kontrrewolucyi tureckiej, jeżdżący po Europie w poszukiwaniu wrogów dla swojej ojczyzny

ZWIĄZEK NARODOWO-NIEMIECKICH posłów austryackiego parlamentu odmówił przyjęcia w swoje grono wolnomyślnego posła wiedeńskiego Zenkera, z powodu jego agitacyi za wolną szkołą. Liberalna prasa wiedeńska oburza się z tego powodu, choć zasiadanie w gronie „cukrzanych" Wolfów et comp. byłoby dla Zenkera wątpliwym zaszczytem.

Nic dosadniej nie charakteryzuje liberalizmu „Nationalverbandu" jak ta uchwała. Ultra-klerykalne niegdyś Koło Polskie nie powzięło nigdy podobnej uchwały.

NOWY GABINET FRANCUSKI pokazał odrazu co zacz. Policya paryska urządziła formalny najazd na giełdę pracy w poszukiwaniu za materyałami do mającej się odbyć demonstracyi w sprawie kolejarzy, a rząd sprzeciwił się uchwaleniu przez parlament zarządzeń przeciw towarzystwom kolejowym. P. Caillaux będzie widać jak Clemenceau i Briand tylko listkiem figowym dla właściwych władców III. rzeczypospolitej — Rotszyldów i Percyrów.

„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru **40** hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

ROCZNIK XIII. LIPIEC-SIERPIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranicą		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**